

66b

Ruch Muzyczny

Warszawa

11-2014

M. / Nr 11

Śmierć to tandetny show

Jacek Marczyński \ W *Aniołach w Ameryce* Petera Eötvösa – które w Operze

Wrocławskiej zainscenizował rodak kompozytora, András Almási-Tóth – to, co ma nadejść nieuchronnie, a czego bohaterowie bardzo się boją, okazuje się atrakcyjne i pociągające. W wypowiedziach przed premierą *Aniołów w Ameryce* węgierski reżyser przywoływał przebojowy swego czasu musical Jonathana Larsona *Rent*. Analogia to jak najbardziej zasadna: oba utwory pokazują nowojorczyków z ostatnich dekad XX wieku, czasu swobody seksualnej, ale również strachu przed AIDS i totalnego kryzysu wartości. Co więcej, twórcy obu dzieł balansują na granicy między operą a musicaliem. *Rent* to współczesna wersja *Cyganerii* Pucciniego, z kolei Peter Eötvös nie ukrywa swej fascynacji broadwayowskimi widowiskami.

Wrocławskim *Aniołom w Ameryce* znacznie bliżej jednak nie do *Rent*, lecz do słynnego filmu *All That Jazz*

Rewia na schodach

(*Cały ten zgiełk*) z 1979 roku. Jego twórca – reżyser i choreograf – Bob Fosse podjął temat dla musicalu niezwykle: zrealizował olśniewające widowisko filmowe o nieuchronnym spotkaniu ze śmiercią, na jakie skazuje się zagoniony i skoncentrowany na sobie reżyser (w znacznej mierze był to autobiograficzny portret Fosse'a). Kiedy po ataku serca dokonuje się przejście bohatera na drugą stronę, przybiera ono formę rewii olśniewającej efektami, ale zarazem tandetnej, bo kicz jest przecież elementem hollywoodzkich filmów muzycznych i musicali z Broadwayu. Również w spektaklu Tótha piękny Anioł schodzi do chorego na AIDS Priora po oświetlonych schodach w towarzystwie atrakcyjnych, półnagich chippendalesów, a jego połyskujący kostium wydaje się wzięty wprost z filmu Fosse'a.

Utwór Petera Eötvösa jest jednak czymś więcej niż tylko spektaklem lśniącym brokatowymi strojami i kolorowymi światłami. W jednej z pierwszych scen z ust Rabina Chemelwita (tak jak w sztuce Tony'ego Kushnera granego przez kobietę) padają słowa: „Katolicy wierzą w przeznaczenie, Żydzi w winę”. I choć tylko niektórzy bohaterowie Eötvösa mają żydowskie korzenie, zdanie to można traktować jak motto. Kompozytor oraz jego żona – i zarazem autorka libretta, Mari Mezei – stworzyli operę o tym, czy można żyć z poczuciem winy.

Z ogromnej, dwuczęściowej sztuki, zaliczanej do najważniejszych

Przerazająca samotność

XX-wiecznych dramatów amerykańskich, ostała się mniej więcej jedna trzecia. Mezei i Eötvös odrzucili przede wszystkim to, co osadza *Anioły w Ameryce* w konkretnym czasie. Tony Kushner pokazał Stany Zjednoczone czasów Ronalda Reagana; sportretował ludzi, którzy wyznają tradycyjne wartości z powodów religijnych lub dla osobistej kariery, a przecież nie potrafią znaleźć (dla nich i dla siebie) miejsca w życiu. Są równie nieszczęśliwi jak ci, którym konserwatyzm jest obcy. Wszyscy mają zresztą takie same słabości i namiętności, choć tylko niektórzy potrafią przyznać się do homoseksualizmu. Tymczasem AIDS atakuje jednych i drugich.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych Kushner przepowiadał kres konserwatywnej Ameryce. Pojawienie się w drugiej części sztuki tytułowych

aniołów miało być zapowiedzią innych więzi i związków międzyludzkich. Czas zweryfikował te diagnozy, nowe nadal nie nadeszło, Amerykanie – i nie tylko oni – nie odrzucili do końca konserwatywnych idei, a ludzie nadal są nieszczęśliwi. Niezależnie czy są homo, czy hetero, czy dotarli na szczyt społecznej drabiny, czy pozostają gdzieś na dole, tkwią w nieudanych związkach rodzinnych i partnerskich. Żyją w poczuciu winy wobec siebie i bliskich, szukając ucieczki od otaczającej rzeczywistości w marzeniach lub wspomnieniach z przeszłości. *Anioły w Ameryce* to opera o samotności człowieka. To, co z pierwowzoru znalazło się w libretcie, nabrało cech uniwersalnych i pasuje do obrazu dzisiejszego świata. Z drugiej strony bez znajomości tekstu Kushnera – czy znakomitego serialu, nakręconego według niego przez Mike'a Nicholasa – trudno czasami zrozumieć skomplikowane relacje między postaciami. Tym bardziej, że akcja toczy się między realnością a marzeniami, zaś światy rzeczywiste i urojone często się na siebie nakładają.

Peter Eötvös zadbał jednak, by tekst docierał do widza nie tylko dzięki temu, że wszyscy śpiewacy są

Pytanie bez muzyki

nagłośnieni. Muzyka w *Aniołach w Ameryce* jest oszczędna, co nie znaczy, że prosta. Kompozytor odwołuje się do konwencji musicalowej poprzez sposób wokalne intonacji, kształtowania śpiewanych fraz, co najłatwiej dostrzec w partii Louisa, kochanka Priora. Orkiestra nie jest zbyt rozbudowana, momentami wręcz ulega całkowitemu wyciszeniu – przede wszystkim w momentach o kluczowym znaczeniu dla przebiegu akcji. Tak dzieje się na przykład, gdy wpływowy adwokat Roy dowiaduje się, że ma AIDS, albo kiedy Hannah Pitt zadaje swojemu mężowi pytanie: „Are you homo?”. Mimo skromnych środków użytych przez kompozytora, muzyka wciąga w swój narracyjny wir. Tak jak w *Trzech siostrach* albo w *Lady Sarashinie*, Eötvös pokazał, że dramatyczne napięcie można zbudować bez wielkiego aparatu orkiestrowego – czasem wystarczy do tego kilka zaledwie dźwięków. Korzystając z konwencji musicalowej, ani przez moment nie popadł w banał.

Mocną stroną wrocławskiego spektaklu są wykonawcy; niemal każdy z nich – zgodnie zresztą z koncepcją sztuki Kushnera – musiał wcielić się w kilka postaci. Zjawiskowym Aniołem okazała się Aleksandra Kubas-Kruk, która, wyśpiewując perfekcyjnie wszystkie ozdobniki swej partii, wyszła poza konwencję koloraturowego, bezdusznego słowika. Była zmysłową kusicielką z domieszką nieziemskiego światła. Rewelacyjnie przedstawił się młody kontratenor Łukasz Dulewicz jako pielęgniarz i była *drag queen* Belize, a także stara Kobieta z Bronxu i nierealny Mr Lies (w świetnym tłumaczeniu sztuki Kushnera dokonany przez Jacka Poniedziałka nazwany trafniej Mr Ściemniacz). Bardzo dobrze wypadł amerykański baryton David Adam Moore (Prior), a także Węgier Gyula Rab (jego partner Louis). Zagranicznym gościom nie ustępowała zresztą pozostała, polska część obsady: Małgorzata Godlewska (Harper Pitt, Ethel Rosenberg), Dorota Dutkowska (Hannah Pitt, Rabin Chemelwitz, Henry) i Michał Kowalik (Roy Cohn). Trudno tylko pogodzić się z tym, że na kolejne przedstawienia *Aniołów w Ameryce* w Operze Wrocławskiej, które otworzyły Światowe Dni Muzyki goszczące w tym mieście, trzeba będzie czekać dwa lata. ➤